

IV. Życie, roztwór przesycony

Niemal za każdym razem, gdy przejeżdżam obok opuszczonego, pogeosowskiego kiosku w Romanowie, mam tę samą myśl: kupić ową ruinę. Gdybym był bogaty jak cała armia skrzypków na dachach przedwojennych kamienic, jak sto tysięcy mleczarzy, jak sam Sheldon Harnick, gdybym był tak obrzydliwie bogaty, daidle deedle daidle, a wspomniany pokiosk - wystawiony na sprzedaż - nie wahałbym się ani minuty i zanabył truchło.

Po co mi taka - zawilgocona jak mniemam, stęchła i spleśniała (nie byłem nigdy w środku tego przybytku, ale domyślam się, że tak jest, wnioskuje po widoku ogólnym, że dach nie należy do najszczelniejszych, poza tym lata nieogrzewania i braku remontów zrobiły swoje, podziały in minus na kondycję budynku) ruina? Potrzebna jako rekwizyt do nonsensownego żartu.

Odmalowałyby się kiosczynę nienajdroższymi farbami, w zasadzie - jedynie elewację frontowej ściany, przewietrzyło z grubsza. Na świeżo wytartych z pleśni półkach ustawiłbym atrapy towarów: puste pudełka po herbacie, kawie, opróżnione z piwa i oranżady flaszencje, na ladzie pojawiałaby się kupiona za grosze, niesprawna kasa fiskalna.

I baba, obowiązkowo musi być babsztyl. Im starszy, bardziej krzykliwy i mniej sympatyczny - tym oczywiście lepiej. Hiperhetera, zwyciężczyni kastingu na atrapę (sic!) sprzedawczyni, zajmie miejsce za ladą, rozsiądzie się na krzesłotronie i czujnym wzrokiem będzie wypatrywać klientów-ofiar.

Ktokolwiek z miejscowych, bądź wycieczkowiczów odwiedzających muzeum Bogdana Bolesławity (jeden z pseudonimów używanych przez Kraszewskiego) wstąpi do przybytku blagi, przekroczy próg fejkowego kiosku, w jednej chwili zostanie przez babiszcze zmieszany z błotem, obrzucony dziesiątkami inwektyw, uraczony wiązkami bluzgów. Że czego pan/ pani wchodzi, nie widzi, że to teren prywatny, nie czytał wywieszki, że wstęp wzbroniony, nic tu nie kupi, bo to nie żaden kiosk, ani sklep, wywieszka jak wół, czarno na białym mówi przecież, że to teren prywatny, jak najprywatniejszy, prywatniuski; won, powtarzać trzeci raz pyskaczka nie będzie, co się pan/ pani patrzy jak cielę na malowane wrota, zamalować to ona może, ale z pięści w nos, gapie pierdzieleni poślazili się nie wiadomo po co, czas tylko swój i jej tracą na czece dyskusje, zamiast się czymś konkretnym, twórczymi pożytecznym zająć, to tylko zawracają głowę i tyłek, stójkowi cholerni, no i co ją obchodzi, że pa/ pani myślał, że to sklep, że jest otwarte, można tu coś kupić? Indyk przysłowiowy też rozmyślał - o niedzieli - i wiadomo, jak to się dla niego skończyło.

Wywieszka, skryta w niewykarczowanych chaszczach, jest prawodawczynią, pseudosklepowa - tępą i ślepą siepaczką, bez szemrania wypełniająca wolę słów "TEREN PRYWATNY, WSTĘP WZBRONIONY".

Po co to-to, kilogramy pustych opakowań, towar rzekomy, po co ona, co tu robi, czemu bawi się w sklepikarkę, udaje ją, po cholerę ta cała maskarada?

A co to was, niedoszli klienci, frajerzy, którzy dali się zwieść, uwierzyli w reinkarnację kiosku spożywczo-przemysłowego obchodzi? Ona może tu być, właściciel terenu i budynku wyraził zgodę, upoważnił wręcz do codziennego odgrywania roli ekspedientki. Nie macie tu czego szukać, pracownicy SANEPIDu, kontrolerzy ze służb wszelakich, mili- i policjanci; nie znajdują się w miejscu publicznym i nigdzie nie jest napisane, że tu są świadczone jakiekolwiek usługi (wyblakły szyld został zdjęty w dniu poprzedzającym "otwarcie" odnowionej budy). A u siebie każdy może wcielać się w kogo chce: być strażakiem, kamieniarzem, czy właśnie sklepową.

Zaświadczenia, atesty? Jakie i po co? Nie zamierzam się nawet o nie ubiegać, przecież nie prowadzę tu żadnego interesu; siedzę tylko pośród pustych opakowań. A co - nie mogę, potrzeba specjalnej zgody z

Państwowej Inspekcji Pracy, aby posadzić dupsko na krześle? Nie? To w czym problem? A ci państwo, zamiast mnie nachodzić, mogliby odświeżyć umiejętność czytania ze zrozumieniem. Dokonują wtargnięcia na cudzy teren i jeszcze się szarogęszą, pyszczą, że mi pokażą, zgrywają święcie oburzonych, jakbym zrobiła, im cokolwiek złego. Ubrdali sobie, naruszacze miru, że to placówka handlowa i włączą jak do siebie, nic a nic nie licząc się ze świętym prawem własności. Tak w ogóle to proszę wyjść, nie zakłócać mi... siedzenia.

Po co to wszystko? Cicho, nie zdradzę tego przed śmiercią. Moją, albo babiny. Skleplik umarł stojąc, jego butwiejące truchło gapi się na przejeżdżające samochody szklanym, brudnym okiem witryny. Pajaki i roztocza sprzedają kilogramy stęchlizny duchom dawno zmarłych, romanowskich moczymord.

Ta opowieść nigdy nie będzie miała stricte końca, bo i po co dopowiadać, nakrywać budowany dom dachem? Czyż nie lepiej dać mu zgnić, rozpaść się, pokruszyć?

Moje palce to robaki. Wbijam je, wślizguję w szczeliny pomiędzy żużłowymi pustakami.

Odejdź tam, gdzie twoje miejsce - w niebyłą przeszłość, stań się w pełni mitem. Płacę dwa pięćdziesiąt trzy plus VAT. Poproszę paragon. Reszty nie trzeba. Wiem, że ustaliłaś najwyższą z możliwych marżę, masz ceny z kosmosu, sekutnico. Przepisy prawa handlowego nie pozwalają ci bardziej się drożyć, rasz-plo.

A, byłbym zapomniał - poproszę jeszcze kilof, tasak, obrzemek noży, siekierę, ze dwie solidne maczety. Zburzę tę historyjkę, nim jej akcja dobiegnie końca, wyrwę z korzeniami świeżo zasadzoną brzoźkę, by - nie daj bogowie - nie roztrzaskał się o nią jakiś, pilotowany przez ślepego samobójcę tupolew. Obrócę w gruzy sklepik, w którym od upadku komuny bywały jedynie myszy (biedne, bo kościelne), robaki i inne łazikurwiątka.

Wstańcie z siedzeń, dostojni widzowie, podnieście otłuszczone zady w łóżach szyderców. Ostatniego aktu nie będzie, operetka pozostanie niedograna. Maestro właśnie połamał skrzypce, rozbił bezcennego stradivariusa na głowie wyjątkowo tępej uczennicy, zatem koncert skończy się przed czasem. Reżyser zjadł taśmę filmową, zakąsił szczątkami kamery. Kompozytor podtarł się partyturą.

Wszystko to zgryw, śmichy-chichy i pogoń za wiatrem.

Gdybym był niemożliwie bogaty - robiłbym takie i inne, gorsze nawet błazeństwa, przecząc swemu wiekowi metrykalnemu zniżał się do poziomu gimbusostwa, odnajdywał siebie w mentalnych żłobkach podczas błogich chwil leżakowania.

Zatrudniałbym ghost-writerów, by układali ghost-menu do opuszczonych restauracji, pisali recenzje filmów, które nie miały prawa powstać, gdyż przekupieni aktorzy torpedowaliby prace, partaczyliby niemal każdą scenę.

Lwią część fortuny przeznaczyłbym na walkę z logiką i rozsądkiem, angażował leciwe seksbomby i emerytowanych klaunów, by wraz ze mną szli do boju o nowe, jeszcze głupsze jutro.

Ja- jeden z najbardziej ekscentrycznych multimilionerów, przechrzaniałbym bajońskie sumy na bezsensowny blef. I byłyby to najlepiej spożytkowane pieniądze w dziejach.

Odrywam głowę noworodkowi, synek, który ledwie wczoraj się urodził, umiera niemal bezboleśnie, jednym szybkim ruchem pozbawiam go przyszłych radości, jak i czekającego bólu i cierpienia. Przyszedł na świat zbyt wcześnie, do tego niezapowiedziany, nieproszony. Takich gości wita się z marsową miną, bez uśmiechu.

Dziecko powinno się począć w podeszłym wieku, tylko w ten sposób można przedłużyć mu i sobie życie. Nie patrzeć jak dorasta, osiąga wiek dojrzały, wreszcie: jak się starzeje.

Dziecko ma być kwiatem, które posadzimy na właśnie sprzedanym, już nie należącym do nas ogrodzie. Odchodzimy bez oglądania się, za naszymi plecami zostaje ono i jego przyszły los. Wybraliśmy najżyźniejszą przyszłość i tyle, dalej musi radzić sobie samo. Nasz czas dobiegł końca, umierający florysta nie będzie doglądać młodej frezji, ani hiacynta. Idę w ciemność, a ziarenko w kształcie serca miarowo pulsuje w glebie. Będziesz kimś, nie masz wyboru. Jeśli dobry los da - niedługo nadejdzie noc - czarna pora

roku. Rozkwitniesz w mdłym świetle księżyca.

Nie zaprzataj sobie mną głowy, dziecko. Po co pamiętać inicjatora, pierwszego murarza, ojca-założyciela? Jego miejsce jest w niewypełnionym proroctwie, micie, który nie ma końca. Odchodzę nie zamknawszy sklepiku. Kradnijcie, drogie dzieci, bierzcie, co tylko chcecie.

Ten sklep to zbiór luźnych myśli, gorączkowy zapis snu mojego kota. Elektryczne myszy biegną nadspodziewanie szybko.

Zaraz je też przeskaluję, zmienię w potwory wielkości Godzilli.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 21.06.2018 18:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.